TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 35. *Chicago, Ills., 25 Lutego, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

— Wiem o wszystkiem, — przerwał cichym głosem stary praktyk. — Ta młoda osoba dostała wstrząśnienia, którego powtórzenie śmierć zadać może, a przyczyną tego wstrząśnienia była obecność pańska! Życie jej wisi już tylko na włosku tak cienkim i słabym, że jedno tchnienie, jedno spojrzenie mogłoby go zerwać!

Nie rzekłszy ani słowa, Miran i pułkownik usunęli się niezwłocznie. Serce młodziana podobne było do wulkanu po nastąpionym wybuchu; było wycieńczone skutkiem wylewu swych niepochamowanych namiętności. Z głębokiem westchnieniem padł na sofę, a wargi jego dumne zaczęły szeptać wyrazy i modlitwy; wszak Ellena, ta pierwsza i ulubiona towarzyszka jego lat dziecięcych, przedmiot jego najpierwszej, jedynej miłości, leżała chora, obłąkana, umierają

ca może wkrótce. Teraz czuł, że może być jeszcze coś gorszego jak utrata jej... przekonanie, że on ją zabił!...

W tej wrzącej naturze syna Wschodu, nie wszystko jeszcze było spodlone.

— Coś bardzo posmutniałeś, — rzekł pułkownik chłodno.

Młodzian zerwał się, jakby ze snu ockniony i niecierpliwie zaczął przechadzać się wzdłuż salonu.

— Posmutniałem! — powtórzył z popędliwością, — o nieba! potrzebaż rzeczywiście obecności istoty bez serca, takiej jak ty, by mnie z sobą samym pogodzić, by mnie zapewnić, że jest jeszcze otchłań upodlenia, w którą nie wpadłem dotychczas?

— A któż mnie popchnął do tej otchłani? — zapytał go spólnik, obrażony tonem gorzkiej wzgardy młodego towarzysza, — któż taki, widząc mnie chwiejącego się nad brzegiem, jak podróżny, który dostał zawrotu głowy, wtrącił mnie w tę przepaść?... Możem zasłużył na wyrzuty, ale nie z ust twoich!

— Masz słuszność, — odpowiedział Indyanin, przygnębiony smutkiem, — straciłem już nawet prawo gardzenia tobą!

W tejże chwili były nadzorca królikarni wszedł do salonu z postawą śmiałą i zuchwałą. Wyobrażał sobie, że skutkiem spólnictwa w zbrodni, stanął na równi z tym, co mu zapłacił. Zapalczywość długo tłumiona w sercu Indyanina wybuchnęła teraz z najstraszniejszą gwałtownością.

— Nędzniku! — krzyknął — obrzydła, zwierzęca, podła istoto!

— A cóżem ja zrobił gorszego, jak pan? — zapytał zadąsany Will. — Dziewczę mi się podobało i chciałem ją ułaskawić za pomocą przestrachu.

Ze śmiechem głośnym, podobnym do dzikiego wycia hyeny, kiedy z ukrytej zasadzki rzuca się na upatrzoną zdobycz, Miran skoczył do Sidelera; nerwy i muskuły jego szczupłej postawy zdawały się być z hartowanej stali. Bez widocznego natężenia podniósł barczystego królikarza aż po nad głowę prawie i cisnął go w przeciwległy kąt pokoju.

Will był niezmiernie mściwy. Podniósł się z ziemi, otrząsł się jak pudel i rzucił się na Indyanina.

Dwukrotnie powtórzył ten napad, i dwukrotnie został odparty; za trzecim zuchwalec leżał na posadzce wycieńczony, zsiniały od stłuczenia, skrwawiony i bezwładny.

Miran patrzał na niego z spokojem niepojętym; puls jego nie był przyspieszony; walka ta rozpędziła burzę, nagromadzoną w jego łonie, nie wstrząsnąwszy nawet nerwów tak wątłej na pozór budowy.

— Czy ten błazen już nieżywy? — zapytał pułkownik.

Głuchy jęk łotra przekonał obecnych, że jeszcze dyszy.

— Oho! — dodał, — to on tylko stłuczony i zbity! Nierozsądnieś uczynił... Lepiej było zniszczyć narzędzie, które już niepotrzebne, niż je poniewierać.

Te ostatnie wyrazy półgłosem tylko wyrzekł pułkownik.

— Czegoż się mam obawiać? — zapytał młodzieniec wzgardliwie.

— Niczego, bez wątpienia; wiesz to sam lepiej odemnie. Ja tylko wynurzyłem moje zdanie. Znałem psa wypędzonego, który ukąsił potem swego dawnego pana.

Następnie, jakby go los Sidelera wcale nie obchodził, otworzył drzwi szklanne do ogrodu i wyszedł przechadzać się po murawie...

Był to człowiek bardzo roztropny, ten pułkownik Mowbray; nie chciał ani widzieć, ani słyszeć, coby go mogło skompromitować.

— Wstań! — rzekł Miran do królikarza, gdy obadwa sami pozostali w salonie.

Dwa razy próbował nieszczęsny powstać, ale napróżno; za każdem wysileniem zachwiał się i upadł; został w końcu rozciągnięty jak skaczały zwierz dziki, patrzący na myśliwca oczyma krwią zaszłemi i grozą przejętemi.

— Nie mogę się podnieść... — szepnął.

Indyanin podał mu rękę, drgając z odrazy, i pomógł mu usiąść na krześle.

— Zuchwałość twoja godna jest śmierci, — rzekł doń łagodnie, — bo o mało nie pozbawiła życia tę, dla której poświęciłbym tysiąc tworów tobie podobnych, gdyby szło o oszczędzenie jej łzy jednej lub jednego westchnienia!... Ręka moja rzadko zwykła przebaczać, skoro się raz podniesie do uderzenia, a strzeż się powtórnej obrazy. Jeżeli jednem słowem, jednem spojrzeniem uchybisz jeszcze tej dziewczynie, tej pokojówce miss Elleny de Vere, wydrę ci życie i nogami

zdepcę twój kadłub przebrzydły! Znasz mnie i jesteś ostrzeżony!

Spokojny i chłodny dźwięk głosu Mirana groźbę tę straszniejszą czynił, niż gdyby wyrzuconą była w uniesieniu gniewu.

Will Sideler zadrżał; poznał w nim silnego pana.

Miran nie potrzebował od niego przyrzeczenia, że będzie posłuszny; uległe wejrzenie złoczyńcy dowodziło, że nie prędko zapomni otrzymanej nauki. A wreszcie wiedział z doświadczenia, że nie ma posłuszniejszego stworzenia nad psa, który się bata boi.

Doktor Guyot wszedł do salonu. Na widok starego Francuza, młody Indyanin zapomniał o wszystkiem, co nie tyczyło się Elleny, aby tylko myśleć o niebezpieczeństwie, któreby mu ją wydrzeć mogło.

— Jakaż nadzieja? — zapytał lekarza, ściskając mu rękę tak silnie, że aż się starzec cofnął.

— Bardzo mała, — odpowiedział, — do ocalenia jej niezbędne są trzy warunki, inaczej po niej.

— Wymień pan te warunki.

— Najprzód cisza najgłębsza.

— Jedno tchnienie wietrzyka nie poruszy liściem różanych krzaków, co okno jej otaczają. Grobowce egipskich piramid nie będą głuchsze od tego przybytku! Ja sam czuwać będę nad tem; a cisza panować będzie, jakby anioł śmierci krążył nad szczytem tego gmachu.

— Istotnie krąży on tutaj. Po drugie: ani pan, ani pułkownik Mowbray, ani ta niewiasta co się mieni mamką tej chorej panienki, nie możecie przekroczyć progu jej sypialni.

Miran podejrzliwie wpatrywał się w mówiącego.

— Jest to gorączka nerwowa i mózgowa, — dodał francuzki doktor, — powtórne wstrząśnienie spowodowałoby śmierć niewątpliwą. Ale niech słowa moje nie będą źle tłumaczone; jej wyzdrowienie obojętnem jest dla mnie, ponieważ wynagrodzenie otrzymam takie same od pana, czy ona wyzdrowieje lub umrze.

Młodzian ze wstrętem odwrócił się od niego i rzekł niecierpliwie:

— A trzeci i ostatni warunek, jakiż jest, panie?

— Należy troskliwie wydalać światło z pokoju pacyentki; oko jest oknem mózgu, trzeba je więc zachować przed blaskiem; wszelkie wrażenie zewnętrznych przedmiotów należy starannie usuwać od zajętego zbytecznie umysłu.

— I jakże to długo ma trwać?

— Blizko dziesięć dni.

— A cóż potem?

— Chora wyjdzie z niebezpieczeństwa lub umrze.

Mróz przeniknął członki Mirana, gdy usłyszał tę odpowiedź, wyrzeczoną obojętnie, jakby głosem wyroczni. I rzeczywiście można ją było uważać za wyrok przeznaczenia, bo doktor Guyot był z liczby tych ludzi, dla których wiedza nie ma żadnych tajników, i którzy stanęli po za obrębem ludzkości. To nie przeszkadzało mu wszakże być niewolnikiem najpodlejszej namiętności, chciwości zysku, tego raka w sercu, który oziębia wszelkie szlachetniejsze natchnienie w młodych ludziach, a w starych staje się samowładnym panem duszy.

Z wielkiem niezadowoleniem przyrzekł Miran, że te trzy warunki będą dotrzymane.

Stary ruszył obojętnie ramionami.

— Idę przyrządzić lekarstwo, — rzekł wychodząc z salonu, — a gdy zobaczę skutek, odjadę do Londynu.

Indyanin chciał go zatrzymać w Mortlake, ale wszelkie prośby i groźby zarówno były bezskuteczne.

Nakoniec, poprosiwszy lekarza, żeby opatrzył jeszcze Sidelera, który przez cały ten czas w cichości znosił swe bóle, Miran wyszedł do pułkownika, przechadzającego się ciągle jeszcze po trawniku.

— Cóż więc z nim zrobiłeś?

— Z kim?

— Z Willem Sideler?

— Zostawiłem go w ręku lekarza.

Przyjaciel Indyanina nie bardzo rad był z tej odpowiedzi.

— Powiedz mi też, — przemówił młodzian, — czy ten Guyot...

— Jest zręczniejszy, niż całe kolegium medyków razem wziętych. Wiem, że w stu wypadkach pomógł, kiedy wszyscy inni odstąpili chorego.

— Nie o jego zręczności powątpiewam...

— A o czem?

— O jego wierności. — Tu powtórzył mu warunki położone przez starego lekarza.

— I przystałeś na to?

— A cóż miałem uczynić?

— Postąpiłeś roztropnie. Co do jego wierności, za tę ci ręczyć mogę. Skoro chciwość jego zaspokojoną będzie, pewnie cię nie zdradzi... Zresztą, czegoż się masz lękać?...

Miran nie umiał na to odpowiedzieć, ale był podejrzliwy, jak większa część krajowców Wschodu, i niejednokrotnie żałował przyrzeczenia, jakie obawa utraty Elleny na nim wymogła.

Ayah bardziej jeszcze od niego niecierpliwiła się tem wygnaniem z sypialni Elleny. Bolała nad tem, że kto inny, nie ona pielęgnuje chorą, i że jej obecność przeraża wychowankę.

Tego samego wieczora Zuzanna wszedłszy do izby czeladnej dla przyrządzenia jakiegoś chłodzącego napoju, przez doktora Guyot przepisanego, zadrżała nagle, usłyszawszy stuknięcie do wysokiego okna, wychodzącego na łąkę za domem położoną.

— Czy sama jesteś? — zapytał jakiś głos dziecięcy.

— Tak jest.

— A więc ja przyjdę do ciebie.

— Kiedy drzwi są zamknięte, — odpodziała biedna dziewczyna. Drżała na myśl, że mogłaby nadejść Zara, albo Will Sideler, o którego smutnej przygodzie jeszcze nie wiedziała.

— Ja mam klucz, — odpowiedziano jej zewnątrz.

W kilka chwil potem odezwało się zgrzytnięcie klucza w zamku, a rudy włóczęga, którego Will Sideler niedawno tak niegrzecznie wyrzucił z domu, wszedł powoli do izby. Zatrzymał się czas jakiś, patrząc z uśmiechem na Zuzię. Ta poznała go przy blasku lampy zwieszającej się od sufitu, i pomyślała w duchu, że nie zdarzyło się jej widzieć brzydszej istoty.

— Ja ciebie kocham, — rzekł malec, — inaczej nie przyszedłbym tutaj. Dla czego tu zostajesz?

Westchnienie całą było jej odpowiedzią.

— Mógłbym cię ztąd wyswobodzić, gdyby mi się podobało.

Pierwsze natchnienie Zuzi skłaniało ją do przyjęcia tej ofiary niespodziewanej, ale wstrzymała się, przypomniawszy sobie, że musiałaby zostawić Ellenę samą pośród jej wrogów.

— Nie mogę ztąd odejść, — odpowiedziała.

— A dla czego nie?... Czy kochasz może tego starego, co cię dziś rano tak napastował?

— Kochać? jego? o nie! boję się jego obecności jak ognia!

— Gdybym był na twojem miejscu, ślicznie bym go złapał!

— Co chcesz przez to rozumieć?

— Schwytałbym go w łapkę, tak jak z ptakami robię. Cromwell-House, jest to wyborna stara klatka. Pokażę ci, jak tego możesz dokazać, boś grzecznie ze mną mówiła, i przeszkodziłaś staremu bić mnie. We wsi śmieją się tylko, jak mnie kto wybije lub wydrwi, dla tego też ich nienawidzę. Chodź-że ze mną, pokażę ci tę kryjówkę.

Wiedząc, że w jej położeniu niczego zaniedbywać nie należało, poszła za tym osobliwszym dzieciakiem. Chłopczyna zaprowadził ją na korytarz równoległy z wielką salą, który koniecznie przejść należało, by z izby czeladnej dostać się do głównych wschodów. Były niegdyś i drugie, boczne, ale te, prowadzące do izby czeladnej, z czasem całkiem zostały zniesione. Skoro doszli do miejsca, mały przewodnik Zuzi uśmiechnął się, wskazując na podłogę.

— Cóż to ma być? — zapytała dziewczyna, myśląc, że z niej żartuje.

— To tutaj!

— Ale cóż takiego?

— Moja łapka... i twoja, jak zechcesz starego podejść. Jeżeli znów zechce umizgać się do ciebie, a zapragniesz pozbyć się go, patrzaj!

Uklęknąwszy tuż przy drzwiach, malec usunął część gzymsu przy ścianie i odkrył ogniwo żelazne, które pociągnął, i zarazem otworzył posadzkę w przestrzeni od dziesięciu do dwunastu stóp. Była to dziura, czyli raczej podziemie dosyć głębokie. Uradowany Red-Ralf, z uśmiechem przypatrywał się ładnej dziewczynie.

Ta poznała natychmiast, jak mogła korzystnie użyć tego odkrycia; pozwalało jej to położyć przedział pomiędy pokojem Elleny, a dolnemi komnatami, do których ayah i królikarz usunięci zostali. Podziękowała chłopcu, i dobywając sakiewki, ofiarowała mu złoty pieniądz. Ralf zmięszał się tem i opryskliwie odmówił przyjęcia pieniędzy, mimo usilnych nagleń Zuzanny.

— Ja nie chcę zapłaty!

— I dla czegoż nie?

— Bo ja nie za pieniądze pokazałem ci tę łapkę.

— A za cóż więc? — spytała go dziewczyna zdziwiona.

— Za twe uprzejme wyrazy i spojrzenia litośne, gdy mnie ten stary szarpał. Myślałem, że ci się do czego przydać mogę, i dla tego przyszedłem, i znowu przyjdę, jak tego zażądasz.

Zuzanna podała mu rękę, którą on serdecznie uścisnął, mówiąc, że mu to milsze niż złoto.

W tem dał się słyszeć chód w sieniach; Ralf zamknął spiesznie klapkę i skinął na Zuzię, aby umknęła.

— A co się z tobą stanie? — zapytała dzieciaka.

— O wiem ja ze dwanaście sposobów wyjścia ztąd niepostrzeżenie; nawet, co mówię, ze dwanaście dróg i wychodów. To szczególniejsza budowa tego starego zamczyska, mogę wejść i wyjść kiedy zechcę, a nikt mnie nie zobaczy.

Po tych słowach przesunął się wzdłuż kurytarza, i znikł za drzwiczkami, znajdującemi się pod głównemi wschodami. Zuzia szybko powróciła do izby czeladnej. Przybywszy, zastała tam już mamkę, która na nią podejrzliwie spojrzała.

— Gdzieżeś to była? — zapytała ją. — Nie potrzebujesz mi odpowiadać, — dodała, widząc wachanie dziewczyny, — uwalniam cię od trudu szukania kłamliwej wymówki, któraby mnie nie zwiodła. Chciałaś ztąd uciec?

— A gdyby tak było? — odrzekła Zuzia uradowana skrycie, widząc, że podejrzenia Indyanki dalej nie sięgały, — obejście, jakiego tu doznałam, nie jest zbyt zachęcające do dalszego pozostawania...

To powiedziawszy, wzięła lekarstwo, które się gotowało przy ogniu, i udała się do pokoju swej pani.

Podejrzenia Zary nie uspokoiły się tak prędko, jak to sobie Zuzanna wyobrażała. Oglądnąwszy się bacznie po izbie, wyszła, aby obejść całe domostwo. Lekkim krokiem przeszła kurytarze, zwiedziła kolejno salony pustką stojące, sypialnie rozliczne, z wyjątkiem pokoju Elleny, i weszła do galeryi o dębowem taflowaniu na ścianach, która była zwana Izbą radną Cromwella.

W chwili, gdy wychodzić miała, usłyszała szelest przy jednem z okien otwierającem się nad dachem. Wyjrzała przez okno, by zobaczyć, zkąd ten szmer pochodził, gdy nagle ujrzała naprzeciw sobie postać, o którą omało nie dotknęła własną głową; był to mały pastuch, który tak się przeląkł ujrzawszy strój cudzoziemski i ciemną cerę Indyanki, że wziął ją za widmo w rodzaju tych, o których tak często słyszał.

Z okrzykiem grozy i przerażenia stoczył się z dachu, i byłby spadł z dwupiętrowej wysokości, gdyby go nie powstrzymało oparcie u brzegu dachu zrobione.

— Upiór! upiór! — krzyczał chłopak.

Zara zbiegła na dół, chcąc wezwać pomocy Mirana, ale gdy z nim na górę powróciła, chłopaka już nie było; odtąd kilka dni upłynęło, nim się odważył zbliżyć do Cromwell House.

VII.

Gwiżdżąc szedł Red-Ralf do chaty, gdzie mieszkał ze swoją sędziwą babką, gdy uczuł, że ktoś rękę na jego ramieniu położył. Zadrżawszy, obrócił się.

— Boże, miej mię w swojej opiece! — zawołał, — pocóż tak straszyć ludzi?

— Nie bój się.

— Och! ja się nie lękam, — odrzekł malec widząc, że ma z żywym człowiekiem do czynienia, — dosyć tu ludzi w pobliżu.

— A gdyby nawet nikogo nie było, — rzekł Joe Beans, on to był bowiem, — nie potrzebowałbyś mnie się obawiać. Ralf, czy lubisz pieniądze?

— Czemu nie! — odpowiedział mały, skrzywiwszy twarz szkaradnie, co było u niego uśmiechem.

Joe wydobył z kieszeni pięć souwerenów, które pastuszkowi pokazał; nigdy dzieciak tyle złota naraz nie widział.

— Czy to wszystko złote pieniądze? — zapytał.

Joe kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— Złoto prawdziwe?

— Lepsze nie wyszło nigdy z mennicy. Słuchajże teraz; pieniądze te dostaniesz pod jednym warunkiem.

— Ja dostanę wszystko to złoto?

— Tak jest z pewnością.

— A cóż mam zrobić za to?

— Wprowadzić mnie do Cromwell-House.

— Oh, tego nie zrobię! — odparł malec zadrgnąwszy, — gdyby to w dzień, to co innego, ale teraz...

— A cóż to za różnicę ma stanowić tutaj dzień lub noc?

— W dzień duchy nie pojawiają się nigdy, — szepnął malec, rzucając chciwy wzrok na złote pieniądze, które Joe na dłoni trzymał.

— Słuchaj mnie, Ralfie: zjawisko, któreś wziął za widmo, nie jest niczem, tylko czarną kobietą; jest to jedna ze służebnic. Widywałem ją kilkadziesiąt razy w innej okolicy. Przecież musiałeś słyszeć o czarnych ludziach.

Malec sam nie wiedział, co odpowiedzieć. W samej rzeczy słyszał o czarnych ludziach, nawet widział człowieka, majtka okrętowego, który oddalając się od okolic klasycznych Wappingu, przybył szukać chłodu pod cienistemi gajami w Mortlake. Wiedział tedy, że istnieją czarni mężczyźni, ale powątpiewał dotychczas o tem, aby się znajdowały czarne kobiety. Zapewne to ztąd pochodziło, że, jak trwierdził nauczyciel tamtejszej szkółki, nie miał wyobraźni.

— A pójdziesz ze mną? — zapytał po długim namyśle.

— Naturalnie.

— A więc dobrze! — zawołał Ralf stanowczo, — jeżeli ty się nie boisz, nie widzę przyczyny, abym ja się miał lękać. Tylko mi pozwól doknąć się tego złota... jeszcze nigdy souwerena nie miałem w ręku.

— Najchętniej! owszem, weź jednego do kieszeni, jako zadatek...

To mówiąc, wetknął w rękę chlopcu souwerena; dzieciak zaczął się śmiać i wydawał się upojony radością i dumą, wyobrażając sobie w swem przekonaniu, jak ważną nadawało mu postawę posiadanie tego złota.

— Chodź-że, chodź! — rzekł ośmielony magnetycznym wpływem błyszczącego kruszcu, — ale czy tylko rzeczywiście to jest kobieta, a nie duch jaki?

— Zaręczam ci najrzetelniej, że to niewiasta czarna.

— Chodź więc ze mną! Niech sobie pozasuwają bramy i założą okiennice, nie przeszkodzą mi wejść do Cromwell House, kiedy mi się podoba; ten dom istotnie podobny do jam królicznych; mnóstwo jest sposobów wejść i wyjść z niego... Nie mów teraz, dodał, zbliżając się wzdłuż zielonej łąki przed domostwem, — a gdyby kto nadchodził, zrób jak ja.

— A cóż takiego zrobisz? — zapytał Joe Beans.

Wyjaśniając praktycznie swój zamiar, Red-Ralf rzucił się na ziemię i zaczął pełzać na czworakach jak pies pod cieniem płotu.

Joe dosyć często używał tego samego sposobu w dziecinnym wieku, kiedy w nocy wymykał się wraz z Henrykiem Ashton z folwarku dla zapolowania na króliki, nie trudno mu więc było pójść za przykładem rudego towarzysza.

— Doprawdy! — zawołał pastuszek zachwycony, — ty to doskonale umiesz. Widać zaraz, żeś do tego nawykły.

VIII.

Nasi czytelnicy przypominają sobie bez wątpienia, że kiedy Miran-Hafaz i pułkownik Mowbray pierwszy raz odwiedzili doktora Guyot, w dzielnicy Jałmużnictwa, postrzegli mężczyznę, tak szczelnie płaszczem owiniętego, że twarzy dostrzedz trudno było, a o którym opowiadał im Francuz, że to był jego uczeń, pałający szczególną żądzą kurowania na obłąkanie umysłu, z osobliwszej przyczyny wynikłe.

Czas, byśmy przedstawili czytelnikom tego ucznia sztuki lekarskiej; był nim znany nam już Khan.

Pierwsze karty naszej powieści dowiodły nam, że dawny poufnik Miran-Hafaza, któremu imię europejskie nikomu wiadome nie było, musiał nie być obcym rozlicznym wypadkom, jakie się w Carrow-Abbey wydarzyły. Ani kraj ten, ani jego mieszkańcy nie byli dlań obcymi; domyśliwał się, a może nawet z pewnością wiedział o zbrodniach Willa Sidelera; widzieliśmy, jak umiał korzystać z tego, co o nim dawniej wiedział, aby zbrodniarza obawą przejąć. Jakiś powód tajemny spowodował go do żywego zajmowania się losem Henryka Ashton, nim jeszcze ten ocalił mu życie, zagrożone przez królikarza. Byłby może nawet czynami dowiódł tej przychylności ku młodzieńcowi, gdyby wdzięcznością i przysięgą nie był związany i przykuty do losu swego dawnego wychowanka.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

OSTATNI FIGIEL PANA JACENTEGO BYŁ NAJLEPSZY.

(Ciąg dalszy.)

Sknera wszelkiemi sposobami starał się zatrzymać inżyniera w domu. Kazał wystawić dość sutą wieczerzę, a choć nie winem, to starym miodem poczęstował gościa. Zjawiła się Agata, córka jedynaczka Skopińskiego, panienka miła, wykształcona, która choć przeszła już 24 wiosnę, nie wychodziła za mąż dla brudnego skępstwa rodzica.

Na drugi dzień przyjeżdża pan Jacenty, a widząc Pogodzińskiego, zaczął mu czynić wielkie wyrzuty, wspomniał o czarnej niewdzięczności, potem ofiarował 10,000 złotych za pustkowie, ale sknera nie chciał słuchać o sprzedaży, tem więcej, że go wciąż ekonom podburzał.

Sędzia zawezwał Skopińskiego w cztery oczy i tak doń przemówił:

— Panie sąsiedzie, przestrzegam cię przed tym młodym inżynierem, bo on coś bardzo czule na twą córkę spogląda. Ej lepiej zawczasu pozbyć go się z domu, gdyż niedługo będzie zapóźno. Wszakżeż 10,000 złotych nie bagatelka, a skarby Bóg wie, czy są? Ja chcę próbować, może się uda, a może i nie. W każdym razie przestrzegam usilnie i umywam od wszystkiego ręce, aby mi czasem w przyszłości pan sąsiad nie robił wyrzutów.

Oczywiście, że sknera na te perswazye nie zważał.

Zaczęły się teraz poszukiwania, kopania, badania owego pustkowia. Inżynier oświadczył, że tam niewątpliwie znajdują się cenne mineraly, ale znacznych trzeba będzie nakładów, gdyż skarby głęboko w ziemi zagrzebane. Ależ to właśnie stanowiło trudność największą, że sknera nie chciał ruszyć swych kapitałów, udając, że nic nie ma, gdyż ciężkie czasy. Inżynier, jakoby przygotowany na podobne wykręty, tak się odezwał:

— Posiadam kilkanaście tysięcy, które chętnie włożę w to przedsiębiorstwo. Ja złożę 10,000 złotych gotówką, a pan mi wystawisz weksel na taką samą kwotę, albo odstąpisz mi owego pustkowia.

Sknera po długich naradach z ekonomem wystawił weksel na 10,000 złotych, gdyż pustkowia nie chciał się pozbywać.

Nie będziemy się dłużej rozwodzili nad tą historyą, a więc krótko powiemy, że pan Karol i panna Agata pokochali się szczerze i przysięgli sobie wieczną miłość, że zaś stary ojciec nigdyby nie pozwolił na małżeństwo córki, z obawy, aby nie dać posagu, postanowiono zatem wziąść ślub potajemnie, do czego podał rękę pomocną pan Jacenty. Ślub nastąpił. Trudno opisać dąsy sknery, gdy się dowiedział o dokonanej sprawie, ale dzięki energicznemu wkroczeniu Płużyńskiego, wszystko się pomyślnie załatwiło. Sknera zgodził się chętnie na podane warunki, gdy mu Sędzia zareprezentował weksel na 10,000 i zagrozil, że w razie stawiania przeszkód, zmusi go sądownie do wypłacenia 50,000 złotych, należących się jego córce po matce. Stanęło więc na tem, że młodzi państwo osiedli przy ojcu, nic chwilowo nie żądając. Pan Karol objął zarząd gospodarstwa, na pustkowiu wybudował cegielnię, która znaczne przynosiła korzyści, gdyż cegła była wyborna, a w pobliżu znaczne wznoszono budowle.

Nie potrzebujemy dodawać, że cała ta sprawa o kupno pustkowia była z góry obmyślana przez Sędziego, a ów ekonom dobrze na tem zarobił.

W kilka lat nastąpiła zmiana w życiu pana Płużyńskiego, gdyż do jego domu zawitała panna Aniela, córka po zmarłym bracie Sędziego. Wieść ta poruszyła całą okolicę, gdyż panna była prześliczna, pierwszej młodości, wykształcona, pełna niewieściego wdzięku, a co główna dla licznych konkurentów, posiadała własnego

posagu 200,000 złotych, a po stryju mogła się spodziewać najmniej 300,000 zł.

Zaczęła się więc wyprawa po złote runo do Skarbina, włości pana Płużyńskiego, który wnet zmiarkował, co się święci. Wiedział on dobrze, że ubiegający się o rękę siostrzenicy głównie, a może jedynie, starają się o suty posag, i że gdyby jego ukochana Anielka nie miała grosza majątku, pewnieby nikt z młodzieży ani nie spojrzał na nią. Teraz zajaśniał jego dar płatania figli w całej pełni, aby odstraszać młodzieńców, dążących do Skarbina. Na byczej skórze trudnoby było spisać wszystkie jego w tej sprawie pomysły, dla szczupłości miejsca ograniczamy się tylko na podaniu kilku jego figli.

Zajeżdża czwórką do Skarbina pan Kalasanty, dziedzic Szczeczyna, zadłużony po same uszy, dla tego na gwałt pragnący się bogato ożenić. Pan Jacenty wita go serdecznie, częstuje butelką wina, napomyka, że dla Anielki szuka narzeczonego, który powinien koniecznie być myśliwym, a że pan Kalasanty posiada wielkie zamiłowanie myśliwstwa, przeto zaprasza go zaraz na polowanie. Konkurent się wymawia, że nie ma flinty, ubrania itd. nic to nie pomogło, dostał starą, wytartą kurtkę, flincisko popsute i dalejże na łowy. Trzeba wiedzieć, że nie lubił on polowania i nie umiał nawet strzelać. Pan Jacenty polował z nim zawzięcie dzień cały, a krzepił go tylko wódką i suchym chlebem. Kalasanty, krocząc w lakierkach po śniegu, przeklinał zapaloną chęć łowów Sędziego, ale cóż miał począć? Jakoś przypadkiem zabłądzili w lesie, trzeba było zatem zanocować w chatce leśnika. Pan Jacenty, znowu zapewne przypadkiem, dostał jako starszy wygodne łóżko; niefortunnemu konkurentowi przyniesiono snop słomy, a zamiast pościelą przykryto go starym kożuchem. Rano skoro świt, znowu na łowy, a na śniadanie kieliszek wódki i kawałek chleba ze serem. Tegô było zawiele Kalasantemu, dnia tego nieznacznie się oddalił, a wnet odjeżdżał, klnąc siarczyście, do swego folwarku.

Przyjeżdża pan Władysław, utracyusz pierwszej klasy, który przepuścił dwie piękne włości w Paryżu, a teraz żył na łasce krewnych, co się często zdarza. Zaufany w swą piękną fryzurę, przytem pełen elegancyi, biegle mówiący po francuzku, sądził, że jak nic zdobędzie serce Anieli. Sędzia go wita, jakby własnego syna. Chwali jego branie się, rozkoszuje się nad jego fryzurą, podziwia paryzki akcent, słowem zdaje się być oczarowanym przez pana Władysława. Dobra nasza, myśli sobie młodzik. Sędzia zaprasza go do obejrzenia podwórza, „bo to wszystko, powiada, będzie kiedyś własnością Anielki, gdyż dla niej tylko zbieram i pracuję. Ach! gdyby tak znaleźć dla niej stósownego małżonka." Mówiąc, to spojrzał znacząco na fircyka, w którym aż serce zabiło żywiej z radości.

Pan Sędzia chodzi niezmordowanie po oborach, stajniach, chlewach, stodołach, owczarniach, zajrzał nawet do gorzelni, a w końcu, gdy już kilka godzin spacerowali, wszedł na śpichlerz. Drzwi były właśnie otwarte, zatem zatrzasnął takowe Płużyński. Na śpichlerzu pokazywał różne gatunki zboża, opowiadał o plonach urodzajnych, kiedy siać najlepiej itd. Nigdy w życiu konkurent nie słyszał takiej gruntownej prelekcyi agronomicznej, ale strasznie mu się nudziło, udawał jednakże, że go to wszystko wielce interesuje.

Nareszcie chcą wracać, aż tu drzwi zamknięte. „A do stu kartaczy," krzyknął zakłopotany gospodarz, „ładna historya się stała, śpichlerz zamknięty na dobre, a my teraz możemy tu noc całą spędzić." Zaczyna Sędzia krzyczeć, ale daremnie. „Wiesz pan co," mówi do fircyka, „włóż tu pan głowę w ten otwór i wołaj na ludzi, a ja pójdę w drugą stronę szukać pomocy, w ten sposób wydostaniemy się prędzej z tej matni."

Pan Władysław wołał rozpaczliwym głosem, że ledwie płuc sobie nie zerwał. Czuł też wielkie znużenie i głód niemały w żołądku. Nakoniec po blizko półgodzinnem wołaniu, gdy już szarzeć się zaczęło, drzwi się otwarły, a kilku ludzi wpadło z okrzykiem: „Złodzieje, złodzieje, bij, łapaj psią nogę!" Wnet kilka żylastych pięści pochwyciło elegancko ubranego dandysa, a razy posypały się gradem. Obalono go w kupę pośladów, jakiś parobczak niesuchą ręką chwycił go za czuprynę, krzyk się wciąż rozlegał: „Złodziej, złodziej, związać go, a szelma, łotr, rabuśnik!" Pan Władysław się tłumaczy, że on nie złodziej, że przyjechał do pana dziedzica, że są razem zamknięci itd. ale nic to nie pomogło. Wreszcie przyszedł ekonom, odpędził parobków i przeprosił za omyłkę. Biedny konkurent z poszarpaną fryzurą, już nie poszedł do dworu, tylko kazał zaraz zaprzęgać i odjechał.

(Dokończenie nastąpi.)

DZIECI WDOWY.

POWIEŚĆ MORALNA.

— DLA —

DOJRZAŁEJ MŁODZIEŻY.

(Ciąg dalszy.)

Edward, chcąc wspierać coraz słabszą matkę, prosił tu i owdzie aby mu dano jakie zatrudnienie, lecz po większej części nie zważano na jego prośby. Edward był w roku dwudziestym drugim, wzrostu wysokiego i silnego; miał rysy wyraźne i delikatne, czoło zaś wysokie zdradzało ducha niepospolitego. Na twarzy malował się wyraz szlachetny z ukrytym pomięszany smutkiem. Szlachetną jego postać i wzrok otwarty nie znający przymusu ani też zdrady, uważali ludzie fałszywie za krnąbrność i zuchwałość; dla tego wszystkie jego prośby były nadaremne. Chociaż wreszcie miał kiedykolwiek jaki zarobek, to przecież nie wystarczało; a młodzieniec utalentowany, w pełnej sile wieku, znaczne mający wiadomości, mimo wszelkich zabiegów, nie mógł o wiele polepszyć smutnego położenia cierpiącej matki.

Gdy jednego poranku wyszedł rychło w góry, aby cośkolwiek ubić, przypomniały mu się cierpienia matki, i myślał jakimby jej sposobem można w czem ulżyć. Nagle potoczył się w smętnych zatopiony myślach na ślizgim kamieniu i wpadł w szczelinę, na szczęście nie bardzo głęboką. Upadł w znak, strzaskał rurę i osadę swej broni, która puściła nie uszkodziwszy go wcale. Podniósł się zwolna, spojrzał żałosnem okiem na broń zniszczoną i nieużyteczną, a potem padłszy na kolana, dziękował Panu Bogu za swoje ocalenie, albowiem i on byłby mógł podobnie strzaskać się albo rozbity runąć w przepaść bezdenną. Rozmaite uczucia przebiegały jego duszę, schodząc w zielone doliny zrywał tu i owdzie lekarską dla cierpiącej matki roślinę.

Gdy przybył do lichej chatki, otworzyła mu stara sąsiadka, która często zdjęta miłosierdziem, chorej pilnowała, gdy Maryę sprawunki jakie do miasta nagliły. Właśnie była wyszła do miasta, aby sprzedać kilka wyrobów haftowanych, chcąc za to matce wzmacniające kupić lekarstwo. Pani Sternburg, która zaraz przy wejściu Edwarda posępność jego spostrzegła, pocieszała go, dowiedziawszy się o przyczynie smutku. Cieszyła się po części, że Edward już nie będzie mógł polować; nieraz bowiem oczekiwała go z największą trwogą, gdy przez kilka dni śledził zwierza w niebezpiecznych ukrytego kryjówkach, nie zważając na wichry i deszcze. Gdy jednak zważyła że niedostatek nieznośniejszym się teraz stanie, z trudnością tylko zdołała ukryć łzy swe rzęsiste. Edward położył zgruchotaną strzelbę na ławce, przeglądał wszystkie jej części, a widząc, że się już nie da naprawić, usiadł pogrążony w smutku przy łóżku ukochanej matki, i spoglądał niekiedy przez otwarte okno, czy Marya z miasta nie wraca. Blade promienie zachodzącego słońca oświecały górę Piłata i południowe gór łańcuchy krwawym rumieńcem, a mgła wiosenna rozciągała się do koła i cisnęła się ku drugiemu brzegowi jeziora, gdzie naprzeciw Piłata stojący wspaniały Rygi wznosił swoje czoło słabo jeszcze oświecone. Słusznie

nazywali starzy tę górę królową wszystkich innych gór szwajcarskich; albowiem najwyższy jej wierzchołek Rigi-Kulm wiele tysięcy stóp sterczy nad powierzchnią morza. Tu zachwyca się oko, patrząc na rozległą przestrzeń obsypaną mnóstwem prześlicznych kwiatów, a botanik znajduje tu obfity wybór potrzebnych mu roślin. — Żadna z gór szwajcarskich nie przedstawia nam tak obszernego i uroczego widoku jak Rigi; z jego wierzchołka bowiem widzieć można czternaście jezior i prawie całą okolicę leżącą pomiędzy Alpami, górami Jura i Czarnymlasem. Przedstawia ono nam w swej rozmaitości obsypany mnogością chat pasterskich krajobraz, jakiego w Szwajcaryi nigdzie już nie znajdzie. W zwierciadle jeziora Vierwaldstaedt kąpią się lodem pokryte wierzchołki, długie rzucając cienie na skaliste zatoki. Tego to jeziora brzegi są świadkami pamiętnych czynów Tella, a zwycięzcy z pod Morgarteen i Sempach byli od dawna mieszkańcami tejże okolicy. W górach słychać jeszcze było trąbkę alpejską a w jeziorze pluskały tu i owdzie swawolne łososie i pstrągi.

Marya biegła właśnie przez cmentarz, zmierzając ku domowi. Zatrzymała się nieco przy grobie swego dobrodzieja, zmarłego proboszcza, postawiła napełniony wyrobami koszyk na ziemię, bo tyle tylko sprzedała, że mogła zaledwie chorej matce potrzebne kupić lekarstwo. Uklękła na grobie, i ze łzami w oczach poczęła głośno wyrzekać. „O mój Boże! — rzekła z płaczem, — cóż teraz poczniemy! jutro mamy zapłacić, a tu nie masz ani grosza pieniędzy, ani rzeczy, któreby miały jakąkolwiek wartość"! Z przyczyny uporczywej choroby ich matki, musieli bowiem sto talarów pożyczyć. Termin, w którym mieli oddać kapitał z prowizyą, już nadszedł, a daremnemi były wszelkie prośby i błagania o cierpliwość u tak zwanego rudego młynarza, który im jedynie w nadziei pomyślnego procesu kredytował wspomnione pieniądze. W skutek powtórnej skargi wierzyciela nakazano im sądownie, ażeby chcąc uniknąć egzekucyi, w przeciągu dwóch tygodni młynarzowi pożyczone oddali pieniądze. Takie myśli ogarnęły duszę pobożnej Maryi, bo czas wypłaty jeden tylko jeszcze przedzielał dzień; a choć rozmyślała, jakby złemu zapobiedz, znikąd jednak nie wiedziała pomocy, znikąd pociechy.

Gdy tak płakała i modliła się, przechodził rudy młynarz przez cmentarz, wspierając się na grubej w srebro oprawnej trzcinie. Był to człowiek wielkiego wzrostu, posępnej twarzy i rysów surowych i niekształtnych. Dzikie i niepewne jego spojrzenie, włos długi czerwony a broda brunatna i szorstka nieprzyjemną i odrażającą czyniły olbrzymią jego postać. Szedł z karczmy; twarz rozpalona i chwiejący się chód, jawnie o pijaństwie świadczyły. Z miną prostacką stanął pijany za modlącą się Maryą, trącił ją swą trzciną i zawołał uśmiechając się z przekąsem:

— No proszę tylko, ta panienka znowu się modli; a chociaż tyle żebrze i błaga, jednak jej nikt tam z góry w pomoc nie przychodzi!

— Nie bluźnijcie, odrzekła Marya, i podniosła się na widok bezbożnego człowieka.

— Co u kata, rozśmiał się młynarz, jaka mi pyszna dama! spojrzeć przecież na mnie możesz, ty wyniosłe stworzenie. Proszę sobie tylko przypomnieć, co mam od matki do żądania i zwrócić na to uwagę, że jutro już kończą się owe dwa tygodnie, gdzie wam, jeżeli nie zapłacicie, mimo wszystkich waszych Świętych, u których pomocy żebrzecie, dobytek wasz zabrać mogę.

— Tego przecież nie uczynicie, mój młynarzu, rzekła przestraszona dziewczyna, poznawszy, że najlepiej będzie prośbą zmiękczyć twarde serce surowego i dzikiego człowieka.

— Mój młynarzu, powtórzył Judasz z uśmiechem i pogłaskał się z upodobaniem po najeżonej brodzie, skoro tak mówisz, miła panienko, toć na ciebie gniewać się nie mogę, a jeżelibyś — to mówiąc przybliżył się do zarumienionej dziewicy z rubaszną grzecznością — mnie za męża pojąć chciała, tedy twej matce nietylko dług daruję, ale dam jej nadto tysiąc talarów. Przystań na to, panienko — zawołał z większą żywością — spytaj się tylko panienka we wsi o mojej Małgorzacie, Panie świeć nad jej duszą! ona miała także wszelkie wygody u mnie, a rok przed swą śmiercią wyglądała jeszcze jak róża. Przystań więc panienko, a wtenczas skończy się wasza bieda. Wtenczas będzie panna, panią młynarzową, i na niczem, zaręczam, zbywać ci nie będzie.

To rzekłszy, wyciągnął brudne swe ręce ku Maryi, ta cofnęła się wstydliwie i rzuciła okiem słusznej wzgardy na niegodziwego zalotnika.

— Jak mi się zdaje, zawołał młynarz rozgniewany, to ta żebraczka jeszcze się namyśla,

kiedy jej poczciwy człowiek miłosierną podaje rękę, aby ją ocalić od śmierci z głodu.

Teraz już Marya dłużej wstrzymać się nie mogła; rzekła więc z największem uniesieniem:

— Wstydźcie się, niegodziwy człowieku, jak wy możecie żądać odemnie tak znieważających rzeczy?! Idźcie sobie do podłych kobiet, te może przyjmą sprosne wasze mowy; mnie zaś nie godzi się z takim pijakiem dłużej tu bawić.

To rzekłszy odwróciła się od niego, schwyciła czemprędzej za koszyk i flaszeczkę z lekarstwem, i chciała odchodzić. W tem nagle upadła na ziemię; albowiem niegodziwiec trzciną ją uderzył. Upadając słyszała jeszcze śmiech szyderski złośliwego bezbożnika i pochyliła się na mogiłę pokrywającą śmiertelne szczątki jej dobroczyńcy.

Gdy przyszła znowu cokolwiek do siebie, ujrzała się samą; krew biegła jej z ciemienia; zapłakała gorzko, a obwiązawszy chustką głowę zranioną, spojrzała ku niebu łzami zalanem okiem. Księżyc odbijał się o wysokie okna w pobliżu stojącego kościółka, i objaśniał tu i owdzie samotnie wznoszące się grobowce, które długie za sobą rzucały cienie. Ponurą spokojność przerywał tylko jednostajny brzęk wahadła zegara wieżowego. W jednym kącie leżało spróchniałe drzewo z wykopanych trumien i słaby rzucało cień na miejsce zniszczenia. Marya siedziała jak mara na grobie dobrodzieja. Przechodzień byłby się niezawodnie przestraszył na widok bladej istoty, która jak posąg marmurowy niewzruszona oczy ku niebu wzniosła.

Niezadługo podniosła się, a odgarnąwszy drżącą ręką skrwawione włosy, schyliła się do koszyczka, lecz nagle krzyknęła z przelęknienia. Flaszeczka bowiem z lekarstwem była stłuczona, takim więc sposobem nie mogła matce na śmiertelnem prawie leżącej łożu nawet tego przynieść posiłku. Nowym tym przestrachem przejęta, wsparła się na grobowcu i w nieukojonym pogrążona smutku patrzała na szkło stłuczone, z którego wytoczone wzmacniające lekarstwo w ziemię wsiąkało. Cóż tu było począć? Nie miała przy sobie ani grosza, nadto była już noc, a miasto o dwie mile odległe. Rzuciła się na poświęconą ziemię, i załamując ręce błagała w gorącej modlitwie o pomoc i wytrwałość w największej swej niedoli. Wzmocniona pobożną wiarą i szczerą modlitwą, podniosła się i szła wybladła, osłabiona i krwią zbroczona ku domowi, z którego okienka przebijało słabe światełko podobne do blasku lampy u łoża konającego.

ROZDZIAŁ II.

Matki i siostry podpora.

Edward siedział przy łóżku cierpiącej matki i usiłował z próżnej już prawie cytryny wycisnąć jeszcze kilka kropli soku; potem pozgarniał pozostałe szczątki cukru, aby spragnionej matce największą rozpalonej gorączką, ile możności sporządzić napój pokrzepiający. Pomimo jednak największego usiłowania, kilka tylko kropli wycisnąć zdołał. Spojrzał ku niebu, i łza żałości wpadła mu w napój. Matka spostrzegła smutek syna, a słabą dłonią otarłszy mu łzy z oczu, rzekła rozrzewniona:

— Kochany mój synu, ty się tak kłopocesz o mnie...

— A jednak matce w niczem dopomódz nie mogę, odrzekł Edward z płaczem i zakrył twarz obiema rękami.

— Nie płacz mój synu, abyś i ty z zmartwienia nie zapadł w chorobę; zwróć raczej ku Bogu skołatany umysł. Jemu podoba się modlitwa dziecinna. On dopomaga uciśnionemu, skoro go na próbę wystawił.

— Ach matko, westchnął młodzieniec, — wszakże ja się ciągle modlę, a przecież bieda tylko się powiększa.

— Zostawmy to jego woli, odrzekła wdowa, nie szemraj nigdy na mądre rozporządzenia Boga, nigdy! pamiętaj, chociażbyśmy tu na tym świecie już nigdy pomocy spodziewać się nie mogli".

— Przebacz, mówił Edward, całując rękę matki, nigdy już tego nie uczynię. Lecz kochana matko, skoro sobie wspomnę, że i ja się czegoś nauczyłem, i że równie jak drudzy mógłbym sobie na chleb zapracować, i matce dopomagać, — skoro sobie wspomnę, ile razy nielitościwych ludzi prosiłem napróżno, którzy mi jeszcze z szyderstwem odpowiadali: jest to rzecz bardzo dziwna, że młody człowiek w dwudziestym drugim roku nie potrafi jeszcze wspierać swej matki, i tylko jak żebrak pomocy innych wzywa, — kiedy mówili, żeśmy się musieli źle

rządzić, albowiem inaczej niepodobna, ażeby tak znaczny majątek mógł zaginąć.

Kiedy im przyczynę tego nieszczęśliwego zdarzenia opowiadałem, prosząc: daj mi pan jaką robotę, będę pisał arkusz po dwa grosze, a moja droga matka będzie za to pana błogosławiła;— kiedy pomimo takiego uniżenia się odpowiadano wzdrygając ramionami: nie możemy ci dopomódz, trzeba iść do kogo innego; — a drugi proszący, skoro wszedł, zaraz dostał robotę, mnie zaś jakoby zbytecznego z niczem oddalano, — wtedy kochana matko, skoro na to wszystko wspomnę — daruj, że ledwo modlić się mogę!

Matka milczała, złożyła ręce i zasnęła. Edward w myślach zatopiony wlepił oczy w ziemię i tylko kiedy niekiedy spojrzał zasępiony na matkę, która mając oczy zamknięte, więcej miała podobieństwa do umarłej aniżeli do żyjącej. W tem zakołatał ktoś do drzwi.

Chora, która tylko słabo drzymała, otworzyła schorzałe oczy i przebudziła syna w myślach zatopionego, dając mu do zrozumienia, aby otworzył.

— To niezawodnie Marya, rzekła, otwórz czemprędzej Edwardzie, czuję wielką słabość i lekarstwa mi potrzeba.

Edward pobiegł spiesznie twarz jego zajaśniała rumieńcem, cieszył się albowiem, że siostra powraca. Biedne dziewczę z pewnością cośkolwiek dla matki przyniosło, pomyślał sobie i odsunął zaporę. Lecz jakież było jego zadziwienie, gdy ujrzał siostrę bladą z obwiązaną głową.

— Marya! zawołał przelękniony, tyś blada jak śmierć, a nogi się pod tobą chwieją; a ta chustka skrwawiona co znaczy? Powiadaj, co ci się stało?

Marya milczała, ale nareszcie natłokiem uczuć, które jej pierś młodą rozerwać chciały, ściśniona, rzuciła się w objęcia brata.

— Czy śpi matka? zapytała go, przychodząc zwolna do siebie.

— Właśnie się przebudziła, odpowiedział Edward, z upragnieniem oczekuje cię; jest bardzo słaba i potrzebuje wzmocnienia. Lecz powiedz, co cię spotkało? Mów! twoje milczenie mnie niepokoi.

Matka poznawszy, że córka przyszła, zawołała na nię, a ta ukrywając ile możności ciężki smutek, weszła z bratem do szczupłej izdebki.

— Witajże kochane dziecię! rzekła matka słabym głosem do wchodzącej i wyciągnęła ku niej wyschłe swe dłonie. Wystrzegaj się, aby cię więcej razy noc nie zaszła, ona bowiem nikomu nie jest przyjemną.

Marya przystąpiła bliżej, a gdy matka spostrzegła, że jej głowa chustką była związana, podniosła się z największem wysileniem w swem łóżku, zemknęła z ócz dużą chustkę, którą nosiła dla ustawicznego bólu głowy, i zapytała z wielką troskliwością smutnej swej córki, co się jej stało.

— Ach matko kochana! westchnęła Marya, nagłe łkanie przytłumiło jej słowa.

— Biedne dziecię, rzekła matka z boleścią, a łzy rzęsiste spadały po wyżółkłych jej licach. Bardzo cię żałuję, cóż ci jest? powiadaj, albowiem obawa zabija mnie.

— Przebiegłam wszystkie ulice tam i napowrót, rzecze Marya nareszcie, wszędzie polecałam moje wyroby, ale nikt ich nie chciał kupić. Nareszcie udało mi się sprzedać woreczek za połowę wartości; bo prawdziwie przyznać muszę, że mnie wełna więcej kosztowała; za to kupiłam lekarstwo, a oprócz tego nic więcej dostać nie mogłam.

— O miłe dziecię, rzekła matka, jak jestem wdzięczną Panu Bogu, żeś mi ten posiłek przyniosła. Nim jednak opowiesz dalej o twoim przypadku, podaj mi jednę łyżeczkę tego lekarstwa, bo już czuję, że siły mnie opuszczają.

Zalała się Marya na nowo gorzkiemi łzami i przez długi czas słowa wyrzec nie mogła. Nareszcie zaczęła słabym głosem:

— Gdym przechodziła przez cmentarz i jak zwykle przy grobie naszego dobroczyńcy się modliłam, spostrzegłam nagle stojącego za mną młynarza. Urażona jego żartami chciałam się oddalić, on nazwał mnie wyniosłą, mówił o naszem długu i o wyfantowaniu, i gdym się do niego z prośbą zbliżyła, oświadczył się ów nędznik o mą rękę z przyrzeczeniem, że gdybym żoną jego zostać zechciała, to nietylko matce dług, lecz jeszcze oprócz tego tysiąc talarów nam darować przyrzeka.

— Z tobą się chce żenić? zawołał Edward z uniesieniem. O nędzniku, ty nic nie wiesz o miłości, nic o religii, nic o wierze! Prawdziwa i czysta miłość jest jedynem uczuciem człowieka, która wzgardza samolubstwem, ty zaś żyjesz dla pieniędzy i ciała twego. Miłość staje się w

twej mowie jako w czynach twoich kłamstwem. Ciebie nie pokrzepia pobożna wiara, mająca siłę świętą i poświęcającą, którą i największy grzesznik wzmocniony spokojnie umiera. Ty zaś drżysz na samo wspomnienie o twoim zgonie, a dreszcz cię przechodzi, gdy słyszysz o śmierci. Z bluźnierczym uśmiechem na ustach przechodzisz około drzwi kościelnych, a jednak wyciągasz brudne twe ręce po tego anioła.

Matka prosiła go, aby milczał, a Marya opowiadała dalej z zarumienionem licem:

— Domawiając ostatnich słów spojrzał na mnie tak pogardliwie, że mi się serce z boleści krajało, i gdy oburzona oddalałam się od bezwstydnika, nazwał mnie dumną żebraczką. Nie mogąc się dłużej wstrzymać, nazwałam go brutalem i chciałam odejść. On zaś uderzył mnie trzciną w głowę tak, że upadając pod silnym razem flaszkę z lekarstwem stłukłam.

Tu zamilkła, bo łkanie przytłumiło jej mowę. Milcząc, potoczyła chora okiem w około siebie, i padła na posłanie.

Edward stał zagniewany przy łóżku; w jego oczach ciemno się zrobiło; konwulsyjnie przycisnął rękę do serca, jakby chciał przytłumić burzę wewnętrzną. Raz spojrzał na matkę, drugi raz na siostrę, · wstrzymać dłużej się nie zdołał — oko jego zdradzało nieukontentowanie. Zdejmuje czemprędzej kapelusz z gwoździa, bierze kij w rękę, i dąży ku drzwiom.

— Zostań! zawołała przelękniona matka, która znała popędliwość syna. Dokąd idziesz? rzekła łając go. Zostań przy nas, albowiem poznaję po twem groźnem wejrzeniu, że namiętność twoja wzięła przewagę, i że nie zważając na nas tak czynić zamyślasz, jakby nie czynił człowiek z zastanowieniem i rozwagą; przez porywczy uczynek sprawisz tylko uciechę naszym nieprzyjacielom.

Edward przystąpił bliżej do łóżka swej matki, pocałował ją w rękę i rzekł z uniesieniem:

— Tego nikczemnika, kochana matko, nauczę, jak ma szanować nieszczęśliwych; pokażę mu, że się nie powinien z ludźmi tak obchodzić jak z bydłem. Jak on się ważył uderzyć Maryą? Oto tu jest rana blizko skroni, jest to niebezpieczne skaleczenie. Ja mu zapłacę! zawołał z coraz większą żywością, on musi poznać brata tak ciężko skrzywdzonej!

— Przestań! ty szalejesz, rzekła matka głosem rozkazującym! podły tylko człowiek grubiaństwem odpłaca za grubiaństwo. Porzuć raz przecie twoją popędliwość, i nie wtrącaj nas w ostateczną zgubę. Panu Bogu zostaw odpłatę, a nie zatruwaj ostatnich dni życia mego porywczym twym gniewem. Pospiesz raczej do cyrulika, i proś go, aby przybywał czemprędzej.

Edward usłuchał. Matka troskliwie patrzała za nim, a gdy drzwi uchylił, przywołała go jeszcze raz do siebie, uchwyciła za rękę a bystro spojrzawszy mu w oczy, rzekła do niego pół prosząc, pół rozkazując:

— Mój synu, nie chodźże do młynarza, a gdybyś go, czego broń Boże, spotkać miał w drodze, tedy milcz i nie rozpoczynaj niczego, póki wprzódy nie pomyślisz o twojej matce śmiertelnie chorej.

Edward ostatniemi rozrzewniony słowy, upadł na kolana przed jej łóżkiem, całował jej ręce, a przepraszając ją w najczulszych wyrazach za swoje postępowanie i przyrzekając zupełną poprawę, pobiegł pobłogosławiony od matki spiesznie ku domowi cyrulika.

Wdowa, która osłabienie swej córki spostrzegła, kazała jej się położyć. Niezadługo też Marya strudzona zapadła w sen niespokojny. Matka skłopotana, siedząc w łóżku, spoglądała na chorą swą córkę i zapominając o własnych cierpieniach, podsłuchiwała troskliwie jej oddechu. Marya leżała w febrze; na czoło wystąpił pot zimny, twarz jej oświecona słabym blaskiem nocnej lampki, świadczyła widocznie o wielkich cierpieniach jej ciała i duszy. Minęły dwie godziny udręczenia, podczas których matka niecierpliwie oczekiwała powrotu Edwarda. Naraz posłyszała stąpanie.

— Dzięki Bogu! przecież już wraca Edward z lekarstwem, rzekła słabym głosem, składając ręce:

W tem otworzyły się drzwi. Edward wszedł z czołem zasępionem i smutno wlepił swe oczy w ziemię.

— Gdzież jest lekarz? zapytała matka, dlugom musiała za tobą czekać, ledwom ze strachu nie umarła; twoja siostra jest słabszą, aniżeliśmy się spodziewali, spiesznej jej więc potrzeba pomocy.

— Pomocy mieć nie będzie, odparł Edward głosem przytłumionym.

— Mieć jej nie będzie? a to dla czego? zapytała matka.

— Cyrulika nie było w domu, odpowiedział zapytany. Poszedłem do karczmy, powiadano mi, że go niezawodnie tam zastanę, jakom go też i zastał w miejscu spodziewanem. Siedział w izbie gościnnej i grał w karty — z rudym młynarzem.

Matka troskliwie spoglądała na syna, chcąc niejako wybadać z jego oczu, jakie skutki wynikły z tego spotkania się.

Łagodnym głosem, a jednak z widocznem nieukontentowaniem opowiadał Edward dalej:

— Przytłumiając uczucia na taki widok wywołane, i udawając jak największą spokojność umysłu, przystąpiłem do stołu graczów, i prosiłem cyrulika, który tylko z wielką niechęcią mnie słuchał, aby coprędzej mej siostrze przybywał na pomoc, ponieważ zachorowała z przyczyny nieznacznej rany w głowie. Krótko tylko nadmienił, że teraz nie ma czasu odwiedzać ludzi, od których zapłaty spodziewać się nie można, i że ranę, która z pewnością nie będzie tak niebezpieczną, obłożyć tylko trzeba zimną wodą. To rzekłszy odwrócił się odemnie, i zebrał swoje karty.

— Tak zróbcie jak wam lekarz radzi, rzekł młynarz z szyderczym uśmiechem; nim jednak odejdziecie, każcie sobie nalać dzbanek piwa, chciałbym abyście się przed spaniem jeszcze pokrzepili. I podał mi dzbanek.

Jaką minę przy tem ustroił, nie wiem, lecz umyślnie nie patrzałem na niego, bo gdybym to był uczynił, tedy niezawodnie gniew mój byłby mojem albo jego nieszczęściem.

Z pewnem zadowoleniem przystąpił do łoża matki, a uchwyciwszy ją za rękę, rzekł rozczulony:

— Pomyślałem o matce i udałem się ku drzwiom, a tak szczęśliwie powróciwszy, dotrzymałem mego przyrzeczenia.

— Niech cię uściskam, mój synu, zawołała matka uradowana. Chociaż mi nic nie zostanie, to jednak mam posłuszne dzieci.

Marya przebudzona tą rozmową, otworzyła rozpalone powieki, lecz natychmiast zapadła w mocniejszy jeszcze sen.

— Cicho! mój synu, rzekła matka, ażebyś Maryi nie przebudził. Pomocy jednak dla niej nie mamy; przeto nie trzeba jej budzić ze snu, albowiem sen tylko potrafi ulżyć jej smutkowi.

Wybiła godzina dziewiąta. Edward spojrzał badawczem okiem na matkę; tyczyło się to próżnej glinianej misy, która stała przy łóżku chorej, i dzisiaj nie miała być potrzebną. Dawno bowiem minęła godzina, w której uboga nasza familia zwykła pożywać prostą wieczerzę. Matka zrozumiała Edwarda, złożyła ręce, a po krótkiem milczeniu modliła się w najgłębszej serca pokorze:

Zmiłuj się nad nami, zmiłuj się dobry Panie,
Pokaż nam Twą łaskę, Twoje zlitowanie;
Wszak w Tobie tylko ufność pokładamy,
Niechże tedy miłosierdzia Twojego doznamy.

W tem ktoś z lekka zapukał we drzwi, a przerywając powszechną modlitwę nieszczęśliwej familii, weszła stara sąsiadka, i postawiła po wzajemnem pozdrowieniu posilną wieczerzę na stół, przepraszając, że tak późno przychodzi, gdyż dla sprawunków długo w mieście bawić musiała. Ze łzami w oczach odebrał Edward ten dar opatrzności, chciał podziękować, ale staruszka spiesznie się oddaliła.

Dziękczynienie Najwyższemu było pięknem zakończeniem przerwanej modlitwy.

Stwórca wszech rzeczy, który i o najmniejszym nie zapomina robaczku, nie opuści także ciężko utrapionych w największej ich niedoli!

ROZDZIAŁ III.

Wywłaszczenie.

Słońce jak dumny olbrzym wystąpiło w złocistych promieniach i oświeciło swem ożywiającem światłem góry Szwajcarskie. Prawie wszystkie drzewa owocowe, okryte rzęsistym kwiatem wiosennym tchnęły powietrzem, tą Bozką wonią natury. W górach słychać było prostą melodyę fujarki pasterskiej powtarzaną przez echo skaliste, a śpiewki wesołych górali rozlegały się ze świtem w około. Tu i owdzie dawał się słyszeć głos dzwonka wzywającego do powszechnej modlitwy, który także przebudził naszą wdowę do odmówienia modlitw porannych. Edward i Marya spali jeszcze, albowiem wypadki dnia poprzedzającego zanadto ich osłabiły. Nabożeństwo się skończyło, a młodzież wiejska zbiegła się wyśpiewując wesoło. Dziewczęta wiły wieńce, gdy tymczasem chłopcy drąg znacznej

wysokości wkopywali. Jeden z nich wskrabał się na wierzchołek tego drzewa wysmukłego, i przyozdabiał go wieńcami. Niezliczona moc w koło stojących widzów radosne śmiałkowi dawała wiwaty, które Edwarda i Maryą ze snu przebudziły. Pierwsze ich pytanie było o zdrowie matki ukochanej.

— Jest mi dziś trochę lepiej, pocieszała ich matka, ale jakże z twoją raną, moje dziecię? zapytała się, usiadła w łóżku, odgarnęła jej ostrożnie włosy z miejsca zranionego. O Boże! rzekła zatrwożona, uderzenie jest blizko skroni, a rana głęboka! To mówiąc, pocałowała ją w czoło, i głaszcząc ją po wybladłym policzku, jeszcze raz spojrzała badawczo na miejsce zakrwawione. Niech Pan Bóg temu złośliwemu człowiekowi nie pamięta tego porywczego uczynku.

— Niech mu Pan Bóg odpuści, powtórzyła Marya, przytłumiając swą boleść, bo chociaż matka jak najostrożniej z raną się obchodzić chciała, to jednak słabą będąc, często ją swą drżącą ręką urażała. Edward to spostrzegł i sam obwiązał Maryi głowę.

Czoło jego było zasępione, oko blade, a usta konwulsyjnie ściśnione. Nic nie mówiąc, usiadł na zwykłem swem miejscu przy stole, i prawie wcale nie skosztował polewki, którą mu siostra zgotowała. Niekiedy tylko spojrzał na stary zegar ścienny, którego melancholiczny brzęk smutną przerywał spokojność i przypominał, że znowu jedna sekunda upłynęła.

Pani Sternburg pilnie śledziła każde poruszenie Edwarda, uważając troskliwie na znaki zewnętrznej walki, jaka się toczyła w piersiach kochanego jej syna. Długo nie przerywała mu jego marzeń; nareszcie jednak przerwała tajemnicze milczenie i zapytała go łagodnym głosem, który na sercu głęboko zranionem takie czyni wrażenie, jak świeże powietrze na więźniu, który po długich cierpieniach ujrzy nareszcie światło słoneczne.

— Czy ci dokucza jakie zmartwienie, mój Edwardzie, którego matka podzielać nie może? Tyś taki smutny, a przecież dziś jest pierwszy dzień Maja; młodzi i starzy cieszą się z tej przyjemnej pory, ty zaś niecierpliwie wyglądasz ku górom, ubolewasz zapewne nad utratą twej broni? Zapomnij już o tem, albowiem polowanie w górach jest bardzo niebezpieczne: przez nie mógłbyś łatwo życie utracić. Słuchaj mych rad, które ci tyle razy powtarzam!

— Ach droga matko, odpowiedział Edward, nie myślałem teraz o mojej broni, zupełnie inne rzeczy dziś mnie dręczą. Przypominam sobie czas, kiedy i ja ciesząc się majówce, byłem pomiędzy wesołymi, lecz dzisiaj właśnie obawiam się tego dnia.

— A to dla czego, mój synu? zapytała się chora matka łagodnie.

Edward milczał, a Marya, która smutek ten wspólnie z nim czuła, spoglądała smutno na badającą matkę. Chora rozrzewniona ścisnęła obojgu ręce, bo i ona się domyśliła, co jej dzieciom łzy wyciska:

— Dziś już czas upłynął, rzekła głosem drżącym, mamy zapłacić, a sami nic nie mamy. Boże! niech się dzieje Twoja wola! westchnęła i wejrzała okiem błagalnem na obraz Matki Zbawiciela. Edward i Marya złożyli także ręce łącząc swe modły z modłami matki. Długo milczała matka, a dzieci nie śmiały przerywać jej modlitwy.

— Pan Bóg nam dopomoże, młynarz nas nie każe fantować, rzekla z spokojnością chora, przerywając milczenie.

— Mylisz się kochana matko, odpowiedział Edward, ten niegodziwiec pewno to uczyni.

— Tyś już stracił wszelkie zaufanie do ludzkości, zganiła mu matka, chociaż pijany popełnił ten porywczy uczynek, to go teraz tem bardziej będzie żałował, i niezawodnie będzie cierpliwym przez czas niejaki; wtenczas udam się do mojej dawnej przyjaciółki byłej pułkownikowej w Lozannie. Dzisiaj w nocy śniło mi się o niej i mam wielką nadzieję, że moją prośbę wysłucha.

— Droga Matko, rzekł zasmucony Edward, ty bardzo jeszcze światu ufasz — daj Boże, aby cię nie zawiódł! A jeżeli się mylę, to wiem że się Panu Bogu tak podoba, chętnie zdaję się na Jego wolę.

Edward nic nie mówił, przystąpił do okna, i patrzał obojętnem okiem na zabawy wesołej młodzieży, która schwyciwszy się za ręce, tańczyła około wkopanego drąga. Marya tymczasem podniosła matkę na krzesło i słała jej łóżko. — O Boże! moje przeczucie! zawołał Edward, i wlepił iskrzące oczy na ulicę.

Cóż ci to? dla czego tak dziko patrzysz przez okno? Cóż się tam dzieje? — Nie, za-

wołał Edward, to już za nadto! Oto tu idzie młynarz z miejskim pisarzem i egzekutorem w celu wyfantowania nas.

— Zbawicielu! zawołała Marya i padła na kolana. Matka uśmiechnęła się z boleścią, jej oko było suche, a głowa jej zwiesiła się na piersi. Edward w oka mgnieniu zrzucił surdut, zawinął rękawy od koszuli, wydobył z kąta gruby kij i zawołał z gniewem i boleścią: — Matko, dotychczas słuchałem twych przestróg, jako dobry syn, lecz jeżeli ten niegodziwiec ostatnie nasze sprzęty będzie nam chciał wydrzeć, tego nie ścierpię. Będę go jeszcze prosił o cierpliwość na kilka tygodni, lecz jeżeli i wtenczas nie odstąpi od brudnego swego zamiaru, tedy się bronię do ostatniego, a niechno cokolwiek ztąd ruszy, albo wam najmniejszą krzywdę wyrządzi — wtenczas!....

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Na urynę zatrzymaną.

Weźmij garść jałowcu i potłucz, przydaj skórek z korzenia wierzbowego i także korzenia ślazowego, to gotuj w dwóch kwartach wody przez godzinę, i przecedziwszy, popijaj po kwaterce co godzinę, a uznasz pewny skutek.

O bólu kuszlowym,
dawniej Scyatyką zwanym,
czyli o bólu biodr i nóg.

Weźmij jałowcu, ziela piretrum, imbieru po ćwierci uncyi, Gummi Euforbii, Castoreum obojga po [illegible] uncyi; mydła $\frac{1}{4}$ uncyi, okowity pół kwarty, to wszystko na proch utarte umięszaj dobrze, dodawszy jeszcze korzenia Angelica: tedy niech w cieple stoi do drugiego dnia; potem takową mixturą przy cieple całe udo nacierać po trzy razy dziennie a najprzód jeszcze obmyć się dobrze.

W tej niemocy, osobliwie kiedy zastarzała będzie, kąpiele są użyteczne, do których najlepsze zioła i korzenie są: korzeń łopianowy, omanowy, całmusowy, zioła Dziewanna, Boże drzewko, Lubczyk, Pokrzywy.

Do smarowania po kąpieli weźmij mrówek czerwonych, przydaj pieprzu utłuczonego, namocz w gorzałce i nacieraj całą nogę.

Także weźmij glizd, co się w ziemi rodzą, posiekaj, przydaj czosnku utłuczonego i mydła uskrobanego, także nieco kamfory, i przysmaż w gorzałce: tym nacieraj. A rano i na noc, ugotowawszy w wodzie Boże drzewko, pij codziennie. Przytem trzeba się przepurgować.

Także rozetrzej czosnek z cebulą, przydaj tartej gorczycy, tartej siarki i nieco kamfory, rozmąć z mocnym octem, przydawszy trochę miodu, podwarz na węglach i okładaj.

Także smarowanie olejkiem bursztynowym, bardzo wielu pomaga. Inni używają olejku Philosophorum Petra i chwalą skutki.

Wykaz chorób,
które krajowemi roślinami wyleczyć można.

Brodawki, leczy jaskółcze ziele, Chelidonium.
Ból zębów, leczy kruszyna krzew i pięciornik.
Ból gardła, leczy Trojanek i Szałwia.
Ból oczów, leczy jaskółcze ziele, Krwawnik, Pięciornik i Ruta ogrodowa.
Chorobę angielską u dzieci, leczy skalna rzęsa.
Drzenie serca, leczy Konwalia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)